ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **niedziela 3 czerwca 1934 r.** **Nr.**

Marjan Reutt

Wrażenia z ringu

Boks... Rozigrana wyobraźnia nasuwa wizje wykrzywionych, zastygłych w szaleńczym grymasie bólu i okrucieństwa twarzy... Boks... Boks... Sprężone zwały mięśni, przesuwające się nieustannie pod skórą... Boks... Spocone i dygocące ciała w ostatnim wysiłku gasnącej świadomości, oczekującej czegoś nieznanego i nieubłaganego, jak życie. Boks... Zimna i okrutna w bezlitosnym obrachunku myśl współczesnego człowieka o walce i o zwycięstwie.

Ale ciekawe jest także spojrzenie na boks od strony psychologji, jako na przejaw twórczości ludzkiej. Prze bogatą kopalnię psychologicznych zagadek i możliwości. Ogniwo małe, promyczek może oświetlający ciemne mroki instynktów i częstokroć przeżyć, niemających nawet określenia właściwego w słowniku ludzkim.

Tajemnicze mroki pierwotnej psyche i niemniej tajemnicze głębiny psyche przerafinowanego, aż do prymitywu, współczesnego człowieka. Olbrzymie laboratorjum doświadczalne, gdzie głęboki umysł analityka może znaleźć ciekawe zagadnienia i nieoczekiwane ich rozwiązania.

Przeanalizujemy sobie parę problematów. Ot tak dla pogłębienia po prostu wiedzy o tych tajemnych, a nieznanych procesach, których siedliskiem jest podświadomość, w którą nie wszyscy wierzą. Są tacy, co i w świadomość również wierzyć nie chcą.

Znakomity psycholog amerykański, William James zastanawiał się wogóle nad tem, czy istnieje świadomość? Świadomość istnienia siebie samego i rzeczy otaczających nas. Niejeden uśmiechnie się ironicznie na takie postawienie sprawy i powie: „Żyję, myślę, czuję, zdaję sobie sprawę, a więc jestem świadom tego, co dokoła się dzieje". A jednak James na to odpowiada: „A właśnie oddech, który zawsze był obrazem niejako „ducha", oddech uzewnętrzniający się poprzez krtań i nozdrza jest tą rzeczywistością, z której filozofowie utworzyli substancję określaną, jako świadomość". A więc...

My jednak nie będziemy zatapiali się w uczonych duskusjach na temat ,czy jest świadomość. Przyjmiemy, że ona jest, jak równie, że jest tak zwana podświadomość. Taki zakątek duszy, z którego czynności człowiek nie zdaje sobie sprawy. I zobaczymy teraz poprzez pryzmat walki bokserskiej pewien szmat świadomego i podświadomego.

Walka! Ciosy z suchym trzaskiem spadają na twarde czaszki. Poprzez szeroko rozwarte oczy walczących przegląda groźba czających się niespodzianek i lęk. Lęk przed czemś nieznanem, co czai się i w oczach i w sprężonych mięśniach współzawodnika, w jego szybkich, jak błyskawica i niezawodnych ruchach. W powietrzu wisi oczekiwanie. Czują to współzawodnicy, czują widzowie. Lekki powiew grozy unosi się w powietrzu. Coś się stanie...

Tymczasem w kwadratowej samotni ringu zmagają się dwa mózgi, dwie inteligencje. Tak, inteligencje. Przyczajone ciała współzawodników robią błyskawiczne bilanse możliwości wzajemnych. Stawiają krótkie, a jakże częstokroć trafne diagnozy anatomiczne i psychologiczne. Ocenia ją instynktownie niemal, ale na zasadzie teoretycznych wiadomości odporność woli i ciała przeciwnika. Ocena doprowadza do rozstrzygnięcia, o ile była trafną, dodajmy.

Mówił jeden z moich przyjaciół sportowych, p. E. O., że czuł się przy szczelnie wypełnionej sali, na ringu, wobec przeciwnika, tak tragicznie samotny, jak rzadko kiedy.

— Czułem, że za chwilę stanie się ze mną coś okropnego. Spadną na mnie ciężkie ciosy, od których niema ratunku. Będę sam, będę rozpaczliwie się bronił, będę bił mocno i z rozpaczą... Czułem, że mnie ogarnie niemoc i bezwład... Ale, gdy zobaczyłem czujne i złe oczy współzawodnika, zrozumiałem, że to gra o życie i że wygrać trzeba. I wygrałem!

Opowiadał mi swego czasu p. Z. W., jeden z moich współzawodników i jeden z najznakomitszych pięściarzy w Polsce o swoich przeżyciach bokserskich. Uderzyło mnie tam z jednej strony napięcie dramatyczne przeżyć wewnętrznych, a z drugiej ciekawy proces utraty świadomości przy nokaucie.

— Było to, pamiętam w Katowicach — opowiadał Z. W. — Walczyłem z jakimś patałachem. Niespodzianek się nie obawiałem. Szedłem naprzód. Biłem dużo i mocno. Byłem pewny zwycięstwa. Nagle poczułem ogromny ból w okolicy serca, a dopiero w mgnienie potem uświadomiłem sobie, że otrzymałem straszliwy cios w serce. Zdawało mi się, że rozprysnąłem się od serca we wszystkie strony. Poczułem straszliwy lęk. Zdawało mi się, że umieram. A potem świdrujący ból w tyle czaszki. Uczułem głuchy stuk. To moja głowa uderzyła o deski ringu. Czułem siebie w końcach palców u nóg i u rąk. A pozatem nic. Cisza i ogromnie ciemno, a przecież był dzień i tysiące widzów wyło i krzyczało wściekle, tupało i biło dzikie brawo.

W każdej niemal walce mamy przebogaty materjał dla psychologa i wierzyć poprostu się nie chce, że to laboratorjum psychologiczne jest najzupełniej niewyzyskane. Pamiętam rozmowy z p. H. D., jednym z najciekawszych pięściarzy warszawskich, człowiekiem bardzo kulturalnym, który mi powiedział:

— Wiesz co? Niejednokrotnie zadawałem sobie pytanie, czy boks jest sztuką, czy raczej techniką. Tutaj przecież, jak w architekturze, trzeba zastosować pewne dane teoretyczne, tylko, że ma się mniej czasu do namysłu. Walcząc, czuję, że mam pewne zagadnienia, które muszę rozwiązać. Trzeba znaleźć takie „X", które jest dane w równaniu, a na imię temu równaniu: przeciwnik. Szukam często tego „X" gorączkowo i raz mi ono przedstawia się jako jednostka, wynikająca z „morale" przeciwnika, innym razem z jego struktury anatomicznej, a zawsze jest ono wynikiem splotu pewnych danych. Dotarcie do splotu — to zwycięstwo. I jest tu pewna twórczość, jest pewne rozwiązywanie problemu, tylko że nie każdy ten problem widzi, a bójkę widzą wszyscy. Tymczasem w boksie nie najciekawszą rzeczą jest bójka.

Istotnie nie najciekawszą rzeczą jest bójka w boksie. Istotą boksu jest gra, ciekawem rozwiązaniem pewnego zagadnienia, które nasuwa rzeczywistość w walce. Im bardziej przeciwnicy są kulturalni, tem bardziej punkt ciężkości w walce przesuwa się w kierunku intelektualnym, a im są prymitywniejsi, tem mniej walorów duchowych wnoszą do walki. W konsekwencji rozstrzyga duch, który umie z odpowiednich środków korzystać. Przypominam sobie taką jedną walkę, po której uczestnik jej, p. W. M. powiedział mi:

— Walczyłem ze zwierzęciem. Mocne bydle. Pobił się tem, że był taki silny i taki głupi. W pewnym momencie trafił mnie w głowę. Zamroczyło mnie. Poczułem charakterystyczną słabość w nogach, które miękko się ugięły. Szum w głowie! Nie mogłem zebrać myśli. Nie mogłem sobie uświadomić, gdzie jestem. Bezwład ogarnął mięśnie. Czułem, że przestaję rozumieć sens tego, co się ze mną i we mnie dzieje. We mnie było pusto, a dokoła mnie nic. Tylko z jednej strony coś się nasuwało. Podświadomie odskoczyłem. Dałem straszliwwy cios w białą próżnię dokoła mnie, w miejsce skąd nasuwało się niebezpieczeństwo. I nagle uczułem ból w ręku. Zrobiło się widno. Sala!... Jakgdyby z daleka słychać było jakiś szum... Stałem pochylony w rogu, a w przeciwległej stronie sędzia liczył sakramentalne „dziesięć" nad powalonym przeciwnikiem.

Idźmy dalej, zobaczmy, jak nieprzytomny człowiek umie logicznie i konsekwentnie postępować wobec niebezpieczeństwa i jak wówczas, kiedy on sam już nie myśli, jest w nim coś, co myśli wewnątrz. wnioskuje, oblicza i w konsekwencji daje zwycięstwo nieświadomie temu, w kim do ostatka tliła się jakaś iskra niezłomnej woli i chcenia.

Opowiadał mi kiedyś p. W. J., znany polski pięściarz, jak w Paryżu, w czasie jednego z meczów Criqui'ego, miał miejsce taki fakt: Criqui był straszliwie bity. Półprzytomny zrywał się do walki i szedł naprzód, pchany jakąś niewidzialną sprężyną. Nie widząc prawie, unikał z dziwną precyzją ciosów przeciwnika. Potykał się, ale zawsze w ostatniej chwili cudem jakimś uciekał od morderczych ciosów. Widzów ogarniało zdziwienie. Rozwścieczony współzawodnik opuścił ręce dla wzięcia zamachu i uderzenia. Jedna chwila — błysk wewnętrzny jakiś, a może instynkt człowieka, któremu jest bardzo źle i który dogorywa, sprawił, że ten nieprzytomny Criqui wyrżnął, niewiadomo jakim sposobem swego przeciwnika w szczękę. Tamten zachwiał się i upadł. Walka była skończona. Półprzytomnego zwycięzcę znieśli przyjaciele z ringu. On sam nie wiedział. jak to się stało, że uderzył, ale grunt że uderzył i, co ciekawsze — trafił.

Mam wrażenie, że zainteresowanie się boksem, a jest ono jednak bardzo duże, dowodzi jego wewnętrznej potrzeby i konieczności. Człowiek przejawia swoje wartości w sposób różnorodny. Mężczyzna w walce najlepiej uwidacznia swoje oblicze. Anglik, gdy boksuje, idzie zdecydowanie, otwarcie naprzód, starając się usunąć wszystko to z drogi, co mu w jego pochodzie przeszkadza. A z chwilą zwycięstwa pamięta o tem, że powalony jest człowiekiem.

Boks jest szkołą walki. Hartuje rozigrane nerwy, i uczy trzymać je na wodzy. Boks jest szkołą ducha bojowego, który, niestety, u nas zdaje się zanikać. Boks jest terenem, gdzie każdy człowiek może wyładować nadmiar swojej energji, swoich sił żywotnych. może przejawić swoją indywidualność w walce i zdać egzamin z własnej działalności. Boks nawet może nauczyć myśleć.

Anglicy powiadają, że młody człowiek dopóty nie jest mężczyzną, dopóki w usta nie pocałował kobiety i nie uderzył w twarz innego mężczyzny. Anglicy są przecież narodem kulturalnym. Boks jest wynikiem ducha danego środowiska społecznego.

Alfred Jesionowski

Na straży polskiej twórczości literackiej

OD DESKI DO DESKI

Wśród współczesnych polskich krytyków zajmuje Irzykowski stanowisko czołowe, zarówno przez to, że dokładnie sobie zdaje sprawę z wielkiego zadania, jakie ciąży na krytyce twórczej, i przez to, że ma wyraźnie określone poglądy w tej dziedzinie, jak i przez to, że jego działalność krytyka nacechowana, mało, przenikniętą jest prawdziwą troską o rozwój polskiej twórczości literackiej. Znamionuje go nadto sumienność i skrupulatność, której daremnoby szukać u większości naszych krytyków, świadomość odpowiedzialności za sąd, dbałość o świeżość i oryginalność myśli. Tom studjów krytycznych, który się ukazał w grudniu ubiegłego roku*), należy do tych nielicznych książek ostatnio u nas wydanych, do których się powraca wciąż na nowo, które się czyta od deski do deski i na wyrywki. Barwny i żywy styl, fascynująca i wciąż aktualna treść, pobudzająca do rozmyślania, odświeżania, dyskutowania spraw i zagadnień jaknajmocniej związanych z naszą twórczością literacką, to zalety, które robią z „Słonia wśród porcelany" vademecum, livre de chevet, czy jak tam nazwać książkę, z którą człek niechętnie się rozstaje. W miarę czytania poszczególnych rozdziałów wędrują z półki na biurka książki, broszurki, prace, które kurz już pokryć zdążył grubą warstwą.

Samo zestawienie Irzykowskiego z „Czynu i Słowa" („Niezrozumialscy" — „Zza kulis krytyki") z Irzykowskim z „Słonia wśród porcelany" jest interesujące i instruktywne. Pełnię zalet Irzykowskiego pisarza, krytyka, teoretyka literatury, doceni się przy porównywaniu jego jasnych i przekonywujących wywodów z zawiłą argumentacją Pomirowskiego („Doktryna i twórczość"), zestawiając doskonale uzasadnione sądy Irzykowskiego z dość pobieżnemi uogólnieniami Baczyńskiego („Prawo do sądu"). Przez to odsłania Irzykowski jeszcze jedną wielką zaletę: pedagoga literackiego, jeśli tak powiedzieć można.

ZAGADNIENIE PLAGJATU

Uwagę czytelnika przykują przedewszystkiem trzy studja pod wspólnym tytułem: Ścięcie trzech Gorgon. Większość rozdziału: Przesądy i przesady krytyki, oraz szkic, p. t. Imponderabilia czyli rzeczy niepotrzebne. Jeśli wymieniam te właśnie studja — stawiam się na stanowisku przeciętnego czytelnika, który z ciekawością śledzi, co się w naszej literaturze dzieje, i dlatego, że zauważyłem, iż np. pisma prowincjonalne, dodatki literackie do dzienników, tym właśnie kwestjom najwięcej poświęcają uwagi. Dla samego rozdziału p. t. „Plagjatowy charakter przełomów literackich w Polsce" warto nabyć „Słonia wśród porcelany". Dotknął tu Irzykowski największej bodaj bolączki naszej twórczości literackiej, jakkolwiek wywody autora głównie się odnoszą do poezji. (W prozie sprawa przedstawia się jeszcze gorzej). Nic dziwnego, że się dokoła tego artykułu rozpętała polemika (napis. w r. 1922), że twórcy nasi czuli się dotknięci nieprzyjemną prawdą, jaką im Irzykowski wypalił, zarzucając im bezceremonjalne korzystanie z cudzych pomysłów, talentu i pracy, zarzucając, że plagjat jest u nas na porządku dziennym, i to głównie dlatego, że jest tolerowany, że nikt albo mało kto wystąpił do walki z tem złem, bo nawet „krytycy, którzy wiedzą o plagjatach, ukrywają ten stan, bo mają w tem swój interes: ponieważ i oni nie mają własnego wątku, więc witają plagjaty - utwory plagjatami - oklaskami, plagjatami - komentarzami". Piętnuje więc Irzykowski tę „całą ohydną atmosferę tolerancji wobec plagjatu w Polsce, gdzie się ten grzech przeciwko Duchowi św. bagatelizuje, usprawiedliwia a nawet popiera, podczas gdy to, co się rodzi u nas oryginalne bez precedensów, traktuje się zimno, jeżeli nie z nienawiścią, i drwiąco mówi się o gonieniu za oryginalnością". Taka atmosfera, „to atmosfera pasorzytnictwa, rozleniwienia umysłowego, w której żadna nowa myśl, ani forma literacka zrodzić się nie może".

Oskarżenia to ciężkie, z któremi zresztą mniej albo więcej szczęśliwie polemizowano po ukazaniu się tego studjum, ale słuszne, i nasza twórczość literacka potwierdza je codzień. (Uwydatniło się to n. p. bardzo jaskrawie w przedmowie Krahelskiej do tomu zbiorowego „Przedmieście", gdzie za nowość poczytano, co ma kilkudziesięcioletnią tradycję).

Z „WDEPTANEGO ZIARNA"

Trudno oczywiście godzić się z Irzykowskim we wszystkiem. Kiedy n. p. wyliczając rodzaje plagjatu wymienia „Plagjat z wdeptanego ziarna", a za taki uważa plagjat nieświadomy, stawia zarówno mówcy, jak i krytykowi wymagania zbyt duże. Sam przecież przyznaje, że nie recenzuje powieści współczesnych, bo nie jest dostatecznie oczytany w współczesnej powieści europejskiej, sam wyznaje, że nie opłaci się być krytykiem. Bo istotnie, aby trapić plagjatorstwo konsekwentnie, aby nie popełniać żadnego plagjatu — na to trzeba studjów i pracy nie lada, trzeba mieć pamięć niebylejaką — i ostatecznie przekracza to wprost możliwości twórcy, orjentowania się we wszystkiem. Krytyk materjalnie niezależny, musi miesiące i lata poświęcać na to, by w pewnej ograniczonej dziedzinie twórczości śledzić rozwój w tej dziedzinie w światowej literaturze, by móc kontrolować twórczość rodzimą — ale twórca? Wielu powieściopisarzy właśnie dlatego czyta bardzo mało powieści zagranicznych, by nie przejąć nieświadomie pomysłu, formy, tematu, szczegółu nawet z twórczości obcej. Jeżeli n. p. w niedługim czasie ukaże się nawskroś oryginalna powieść Morcinka na temat „Ondraszka" — to może w dużej mierze i dlatego, że skrupulatnie odsuwał wszystko z beletrystyki i poezji, co na temat ten już napisano — ograniczając się jedynie do strojów historycznych.

Niemniej wogólności oskarżenia Irzykowskiego na temat plagjatu — są słuszne; godzimy się bez zastrzeżeń na postulat autora, by „po palcach dawać plagjatorom, nie pozwalać na importy z zagranicy bez zbadania jakości towaru... poprostu robić trudności, aby nie wywalano otwartych drzwi. Pilnować ciągłości zagadnień i dyskusji literackiej". Sprawa oryginalności i plagjatu w naszej literaturze nie powinna schodzić z naszych dyskusyj literackich, a krytyka szczególnie na tę stronę utworu winna zwrócić baczną uwagę.

KTO WIĘKSZY?

O krytyce i krytykach mówił Irzykowski 20 lat temu w „Czynie i słowie" (Zza kulis krytyki) — do tego tematu powraca w najnowszym zbiorze studjów („Godność krytyki"). Bo to i temat, co do którego, u nas przynajmniej, wciąż jeszcze wielkie panuje nieporozumienie. W obu studjach na temat krytyki („Zza kulis krytyki", „Czyn i słowo" i „O godność krytyki", „Słoń wśród porcelany") rozważa Irzykowski przedewszystkiem wzajemny stosunek krytyki i pozostałej twórczości literackiej do siebie. Kiedy w studjum pierwszem napisanem przed 20 laty autor wypowiada swój pogląd na istotę krytyki, jej zarania i znaczenia dla literatury i w literaturze, to w szkicu „O godności krytyki" rozważa Irzykowski pretensje twórców do krytyki i rozprawia się z niemi w sposób dość bezwzględny ale słuszny. Wiele tu zajmujących spostrzeżeń i głębokich uwag o współczesnej twórczości polskiej. I tu, jak i w wielu innych studjach przebija szczera troska o rozwój, o poziom naszej literatury. Jedno jednakże twierdzenie należałoby wyświetlić. Przeciętny konsument literatury, t. zw. szeroka publiczność — zdaje się nie obchodzi twórcę ani krytyka. Kogo np. uważa Irzykowski za publiczność, jeśli twierdzi: „Publiczność pała namiętnością sądu. Kto większy?" („Słoń wśród porcelany", str. 215).

Czy autorów, kilkunastu krytyków i wybraną elitę czytających, orjentujących się dobrze w calem naszem życiu literackiem? Zdaje się, że tylko tych! Krytyki Irzykowskich, Pomirowskich, Millerów — to rozmowy inter augures, i ich czytelników, być może, głównie interesuje: „kto większy". Ale w takim razie dla tych kilkudziesięciu, starczyłoby stworzyć pismo czysto fachowe. Ta publiczność zaś, którą nazywamy ogółem czytających, którzy stanowią gros kupujących i czytających powieści, i poezje, którzy skromną kwotę w budżecie przeznaczają na nabycie jakiejś nowości literackiej i dysponują niewielką ilością wolnego czasu — tej publiczności jest zupełnie obojętnem, kto większy. Ją autor obchodzi niewiele. Ta publiczność chce wiedzieć, jaką książkę czytać warto, i dlaczego, bo nie chce tracić ani czasu ani pieniędzy na rzecz bezwartościową. Ta publiczność pragnie dowiedzieć się, czy dany utwór zawiera coś dla myśli lub serca, czy przyczynia się do oderwania czytelnika od szarej i przykrej często rzeczywistości ku pięknu, ku wartościom nieprzemijającym. Ale o tej publiczności nie myśli się wcale. Dla niej są albo owe fachowe rozważania Irzykowskich, Millerów i t. d. — albo zdawkowe recenzyjki, najczęściej zgóry przygotowane przez wydawnictwa.

KRYTYK - POŚREDNIK

Wskutek tego jakże często słówka jednego się nie czyta o książce, która przecież jakoś trafi do czytelnika przez swoją wysoką wartość. Ale o tem nie dowie się ani autor, ani wydawca, ani krytyk fachowy—chyba przygodnie z relacji jakiegoś statystyka, który sprawdzał w bibljotece, czy kilku bibljotekach poczytność autorów. Przez to czuwanie nad rozwojem twórczości jest utrudnione, pominięty ważny moment wyrabiania smaku w publiczności. Przez to, że niema recenzyj czy krytyk dobrych dla przeciętnego czytelnika, czytelnictwo albo upada, albo manieruje się.

Czas byłby najwyższy, aby w naszych krytykach w czasopismach poświęconych literaturze i w recenzjach dziennikarskich wybił się typ krytyka pośrednika pomiędzy utworem a publicznością, krytyka, któryby się nie obracał w górnolotnej terminologji zawodowców na tem polu, ale krytyka, który spełnia misję kulturalną i społeczną, który omawiając utwór, toruje drogę książce dobrej, tępi książkę złą, wyrabia w czytelniku smak, nauczy go być wymagającym. Takich krytyków jest, jak dotąd niewielu, zaliczyłbym do nich Piwińskiego, Piaseckiego, Noskowskiego, Kisielewskiego i kilku innych. Gdyby ten typ krytyka stał się powszechniejszy, publiczność czytająca zabierałaby częściej głos, silniej związałaby się z literaturą, zaczynałaby stawiać wymagania, pomagałaby tropić plagjat, przyczyniłaby się do podniesienia poziomu literatury naszej. Gruntowne rozpatrzenie się w tej sprawie przez Irzykowskiego, doskonałego znawcę i twórczości naszej i krytyki — mogłoby sprawę tę znacznie naprzód posunąć — bo głos Irzykowskiego waży.

NIEZROZUMIALSTWO

Czytelnika „Słonia wśród porcelany" przykuje wśród innych studjów specjalnie aktualne wciąż zagadnienia „niezrozumialstwa" w naszej literaturze, z którem Irzykowski się rozprawia w szkicu p. t. „Niezrozumialstwo". Zagadnieniem tem zajmował się Irzykowski już dawniej, (Czyn i słowo: Niezrozumialcy str. 239—256), rozważając je jako metodę literacką, w związku z twórczością Micińskiego, Wyspiańskiego, Norwida, Brzozowskiego i in. i broniąc prawa autorów do pewnej porcji niezrozumialstwa, gdyż „każde dzieło wartościowe, czyli przynoszące coś nowego, musi zawierać pewien element niezrozumiałości i musi stawiać trudności albo głowie, gdy chodzi o przyjęcie nowych myśli, albo sercu, gdy chodzi o nowy sposób odczuwania" (str. 250. Czyn i słowo). Czytelnik wymagający żąda, by utwór nie był „łatwy". Utwór niema być niezrozumiałym w tym sensie, aby był niemożliwy do czytania, do zrozumienia, może i powinien być „trudny", wskutek pewnego niedbalstwa myśli — ale ostatecznie powinno się dojść do zrozumienia utworu.

Wśród różnych przyczyn „niezrozumialstwa" wymienia Irzykowski jedną, która dziś jest nie mniej aktualną, niż przed kilkunastu laty, która dziś jest także przyczyną innych niedomagań w naszej twórczości literackiej. „Niezrozumialstwo" — mówi Irzykowski, „wypływa zwykle stąd, że twórcy żyją zbyt słabem życiem towarzyskiem czy społecznem. Wielu z nich żyje na wyspach — czy to dobrowolnie czy wskutek przymusu.... zabawy, bankiety, parlamenty, komitety, nawet miłość i przyjaźń, bywają zbyt często surogatami". To zdanie dziś nie straciło nic ze swej aktualności — i niem tłumaczyć można jeszcze inne niedomagania i nieporozumienia w naszej twórczości literackiej.

„NIECZYTELNOŚĆ" POETÓW

Nie szczędząc gorzkich słów prawdy „niezrozumialcom—zarozumialcom"—nie rozgrzesza autor także czytelników z winy tak kompletnego poddania się terorowi niezrozumialstwa, że „nawet przed jaskrawemi błędami drukarskiemi schylą głowę w pokorze i zadumaniu". Czasy nowsze nietylko, że nic nie zmieniły pod tym względem — ale przeciwnie: autor niezrozumiały stał się autorem nieczytelnym, opierając swe prawa do niezrozumialstwa na autorytetach poprzednio wymienionych, oraz na nowych doktrynach estetycznych „usłużnie dających ordynarnej niezrozumiałości teoretyczne uzasadnienie" („Słoń" str. 62). Wykazuje tedy Irzykowski na przykładach ową „nieczytelność" szeregu twórców, szczególnie poetów, przytacza interesujące wyjątki z polemiki, jaka się toczyła, gdy się artykuł po raz pierwszy ukazał. Polemika wykazała, że Irzykowski stoi w tej kwestji odosobniony ze swym sądem, odosobniony wśród „augurów" — natomiast czytelnik „niezrozumiałych" poetów, i owej polemiki staje całkowicie po stronie Irzykowskiego (choć mu się to może nie podobać, boć aprobata czytelnika, publiczności, nie jest ponoć niczem pochlebnem dla autora), bo ten przeciętny czytelnik Przybosiowych, Peiperowych i innych „nowoczesnych" poezyj, prozy Witkiewiczów — teraz także bez wstydu przyznać się może, że nie rozumie tej twórczości — nie uchodząc przez to przyznanie się za skończonego matoła.

Irzykowski walcząc z niezrozumialstwem wielu współczesnych poetów, walczy z brakiem oryginalności, dopatrując się w niezrozumialstwie chęci zamaskowania braku myśli, chęci zamydlenia pokornej publiczce oczu dziwacznością formy utworu, zestawieniem słów, które pozostają rebusem nie do rozwiązania. W tej niezmiernie ciekawej polemice, szczególnie zaś w wywodach Irzykowskiego samego — wyświetlono dużo ciekawych zagadnień literackich, które przeciętny konsument literatury rozważał a rozstrzygnąć nie śmiał, nie czując się kompetentnym. I to jest wielką zaletą literackich studjów Irzykowskiego, że każdy interesujący się literaturą polską znajdzie coś dla siebie szczególnie ciekawego, znajdzie rozstrzygnięcie niejednej palącej wątpliwości. Studja te są dalej dowodem czujnego sumienia artysty, stojącego na straży oryginalności i wartości naszej twórczości literackiej — artysty bezkompromisowego, który w obronie ideału, dla którego walczy, gotów jest stanąć w szranki z każdym, który walkę tę podjąć chce.

Ci wszyscy, którzy nie mieli możności śledzenia rozwoju walki o poziom naszej twórczości literackiej w ostatnich kilkunastu latach — znajdą je doskonale usystematyzowane w najświeższym tomie szkiców i studjów literackich Irzykowskiego.

*) Karol Irzykowski: „Słoń wśród porcelany". Tow. Wyd. „Rój". 1934. Str. 355.

Józef Kisielewski

Kilka stopni wgórę

Po każdej awanturze czuje się Richtig, jak po gazowych kąpielach w Krynicy. Po całem ciele wędrują cierpkie łaskotania i sprowadzają leniwe znużenie. Dla tego nieokreślonego uczucia lubi Richtig robić awantury i zapalać pierwszego papierosa rano przed śniadaniem. Obie rzeczy wysyłają człowieka na kilkuminutowy urlop, zanurzają w lenistwie, przyczem ma się jednak pewność, że ta duchowa rekreacja nie zburzy ustalonego porządku dnia.

Richtig patrzy na czerwoną makatę na stole i żałuje, że żadna z tych dwóch okazyj już się dziś nie może zdarzyć. Jest popołudnie niedzielne, liczne, wypalone od rana, papierosy zdołały już dobrze przyzwyczaić krew do nikotyny, a codopiero zakończona awantura z Celiną o brak solniczki na stole zamyka wszelką dalszą okazję bodaj aż do końca tej majowej niedzieli. Obiad się skończył. Celina nakryła stół czerwoną makatą z frendzlami i teraz tłucze garnkami w kuchni, oczekując znaku sygnaturki.

Richtig jest znudzony. Opiera buciki o listwy stołu i huśta się w tył na nogach krzesła.

— Złam kark — ostrzega go żona spokojnym głosem, którego Richtig od lat dziesięciu nie znosi.

Rzuca tułów jeszcze bardziej w tył. Spojenia krzesła trzeszczą. Równocześnie szuka Richtig jakiegoś wewnętrznego pokrzepienia. Od miesiąca jest niem wygrany proces o eksmisję z Kulczyckim. Trzy lata trwał proces. W tej chwili wolałby Richtig, żeby trwał choćby pięć. Dwa dodatkowe lata oznaczałyby większy triumf. Kulczycki jest hrabią, a Richtig kupcem. Kupiec pobił hrabiego na głowę. Hrabiego bez pieniędzy! Richtig uśmiecha się złośliwie, ale tylko wewnątrz siebie ze względu na żonę. „Teraz, panie Kulczycki są nie te czasy. Kto niema waluty, jest gorszy, niż hrabiowski pies".

Następnie próbuje Richtig zastanowić się nad prawami, które rządzą światem. Taki Kulczycki. Był hrabią i miał pieniądze, grube pieniądze. Podczas jakieś kłótni powiedział raz Kulczycki do Richtiga: „Kiedyś miałem pastucha, takiego rudzielca, jak pan. Woził wodę dla krów". Richtig nie lubi wspominać rozmów z Kulczyckim. Były jak skaleczenia, które należy omijać zdaleka i z ateneją, aby się nie urazić. Każdy człowiek ma swoje sposoby na odwracanie przykrości. Inaczej nie możnaby żyć. Z tych jednak rozmów udawało się wywnioskować, że Kulczycki miał wielki majątek. Dla samych krów trzeba było wozić wodę. No tak, ale teraz już jest po wszystkiemu.

Krzesło pośliznęło się na posadzce. Richtig omal nie upadł na wznak.

— Mówiłam — rzekła Wiktorja.

Równocześnie na biurku w przyległym pokoju zadzwonił telefon. Richtig zerwał się z krzesła i podreptał jaknajprędzej do gabinetu, aby uprzedzić żonę.

Przyłożył słuchawkę do ucha. Narazie nikt się nie odzywał. Dopiero po chwili z ciszy i lekkiego szumu drutów wyłonił się czyjś głośny śmiech. Richtigowi przypomniał on rzeczy najbardziej nieoczekiwane: różowy, błyszczący jedwab, zapach skóry samochodu, jakiś film, w którym odbywał się bal miljonerów, Patelska, strusie pióra i wystawa restauracji „Gastronomja". Wszystko to razem, w nagłem zmieszaniu. W jednym błysku pamięci. Stojąc ze słuchawką w ręku, patrzył przez otwarte okno na ogród. Pod południowym murem kwitła morela. Różowe płatki kwiatu moreli były również w tym śmiechu. Cóż za nieodpowiednie słowo „śmiech"? Wiktorja też się śmieje, gdy są goście. Ale ten oto, który słyszy w telefonie, to nie jest śmiech, to jest — muzyka!

— Czy to warsztaty reparacyjne?

Przez chwilę dochodzi Richtig skąd biorą się te słowa. Ach, tak. Są to słowa, przeznaczone dla niego. Tamto było tylko niespodziewanym dodatkiem.

— Czy to warsztaty reparacyjne? — powtarza telefon niecierpliwie.

— Moje uszanowanie panu prezesowi — odpowiada skwapliwie Richtig. Już poznał, że to mówi Sobkowiak, Jerzy Sobkowiak i jest tem głęboko wstrząśnięty.

— Niech pan przyśle kogo, aby sprawdzić heterodynę — mówi telefon — mam gości.

— Pan prezes się pomylił — wyjaśnia Richtig — tu jest Michał Richtig, skład wyrobów skórzanych.

— Acha. No tak, to pomyłka.

Trzask w telefonie. Rozmowa skończona.

Richtig ukłonił się Sobkowiakowi na odległość. Następnie usunął się na fotel przed biurkiem. Biurko było nowe, jakby kupiono je przed miesiącem, a nie przed dziesięciu laty za pieniądze Wiktorji. Z takiego biurka można być dumnym. Jest szerokie i masywne, z prawdziwego dębu, po bokach ma rzeźbione ozdoby w kształcie wianuszka pląsających aniołków. Posiada tylko jeden błąd: nie można przy niem siedzieć i pracować. Po pięciu minutach cierpną nogi od niewygodnej pozycji i sztywnieje kark. Takie oto biurka wyrabiają bogate magazyny i takie się kupuje dla prezentacji domu. Na szczęście Michał Richtig nigdy nie musiał przy niem pracować. Gdy chciał zaczerpnąć umysłowej otuchy, wystarczyło, że pospacerował wokół biurka i patrzył na kalamarz z brązowego marmuru w żyłki.

Obecnie jednak zapomniał o niebezpieczeństwach. Usiadł przy biurku. Pochłaniały go myśli.

Gabinet był mroczny, nawet w tak słoneczne popołudnie. Celina trzasnęła drzwiami, w drugim pokoju Wiktorja przewróciła odrazu kilka kartek książki. Wolną rezerwę myśli, którą gimnastykował w sklepie w najcięższych nawet chwilach, aby uważać na personel, skonstatował: „Opuszcza trzy kartki z opisami przyrody". Jednocześnie patrzył jeszcze raz na różowe listki moreli. To go powiodło do wspomnienia uśmiechu w telefonie, a zaraz następnie do samego Sobkowiaka.

Wiktorja z trzaskiem zamknęła książkę i oparła się na parapecie okna, aby oglądnąć świat zewnętrzny, na którym w tej chwili również nie było nic ciekawego. Poruszała się z głośną, prowokacyjną zamaszystością, ale Richtig starał się tego nie dostrzegać i nie słyszeć.

Porównywał siebie do Sobkowiaka. „Cóż za różnica — myślał — czy się pracuje w wyrobach skórzanych, czy w centralnem ogrzewaniu i kanalizacji? Niema w tem chyba prawdziwej różnicy. Powiedzieć nawet można, że specjalność Sobkowiaka więcej budzi wątpliwości, a na-

Władysław Konopczyński

Królobójstwo w Polsce

Polak niechętnie podnosił rękę na swych królów. Stara to prawda i bardzo zrozumiała. Popierwsze, królobójstwo było zbyteczne, bo od dawiendawna nikt nie doznawał królewskiej tyranji, powtóre, każdy, kto chciał się mścić za mniemaną krzywdę, mógł podnieść rokosz albo zerwać sejm, potrzecie. co najważniejsza, wolna elekcja stwarzała między wybrańcem i wyborcami osobliwy moralny związek, właśnie dlatego, że była wolna. Zresztą i dulcis sanguis Polonorum nie łaknęła krwi pomazańca. Zw strzał do Zygmuta I (w r. 1523) pozostaje odosobnioną zagadką i niewiadomo, czy wogóle wyszedł z polskiej rusznicy. Półobłąkany fanatyk kalwin Piekarski. co godził na życie Zygmunta III (1620), niejako płacił rachunek za czyny katolickich Gérardów i Ravaillac'ów. Pogłosek o zamachach trucicielskich nie brakło, ani za Batorego, ani za Sobieskiego, ale do zbrodniczych zamachów nie dochodziło.

Dopiero narzucony przemocą i uległy wobec przemocy Stanisław August ściągnął na siebie tylu królobójców, iluby ich wystarczyło na całą dynastję. Nie mówimy, rzecz prosta ani o Pułaskim, ani o jego narzędziach: Strawińskim, Łukawskim i towarzyszach, ci bowiem ostatni, aż zbyt dobitnie dowiedli, że o głowie królewskiej nie „myśleli", skoro ją, mając w ręku przez kilkanaście godzin, zostawili na karku: widocznie mieli rozkaz porwać „ciołka" żywcem i owa rana, którą król odniósł w pamiętnej nocy 3/4 listopada, i którą potem wypominał narodowi (w mowie sejmowej 1776 roku), jako najwymowniejszą pamiątkę po konfederatach, została zadana przypadkiem, nad program.

Ale na czyn Strawińskiego składały się potrosze inne usiłowania. Rulhière w „Dziejach anarchji" pisze. zapewne na podstawie ustnych rewelacyj konfederatów, że już w r. 1766, podczas tragicznego sejmu Czaplica, kiedy król z narażeniem tronu walczył o reformę seimową, opozycja wówczas wspódziałająca w tej sprawie z Rosją i Prusami, propagowała legendę o rokoszu gliniańskim za Ludwika Węgierskiego, kiedy to miano wymordować zaprzedanych królowi senatorów; ze szczególną gwałtownością agitowali tak dwaj Mazurowie, Tressenberg i Zakrzewski, gdy sześciu ich towarzyszy, uknuwszy z nimi spisek, zamierzało przy pierwszym tumulcie zabić Stanisława i jego krewniaków. Do zamachu nie doszło, Zakrzewski ubóstwiany przez pospólstwo warszawskie zginął później w walce z Drewiczem pod Tykocinem 20 kwietnia 1769 r., a Tressenberg padł pod Pilznem 15. V. 1770 r., okryty dwudziestu ranami.

W relacjach toruńczyka Gerata czytamy pod datą 17 marca 1768 r. wiadomość nadzwyczajną: „Przed tygodniem zaszedł tu dziwny wypadek. Król jechał wieczorem około 10 godziny parokonnym powozem z paru tylko hajdukami do Lhullirerowej; wtem kilka osób napadło na powóz. Król wyskakuje czemprędzej, a ponieważ rzecz dzieje isę już na rogu ulicy, gdzie mieszka Lhullierowa, wpada do jej domu. Jednego hajduka ciężko zraniono. Jeden z napastników schwytany tłumaczy się tem, że nie wiedział, iż zaczepia osobę królewską, sądził bowiem, że król nie jeździ do domu schadzek. Ten fakt jest całkiem pewny, napastnik siedzi w areszcie zapewne jednak całe to zajście przytłumią. Podczas sesji sejmowej król miał także nieprzyjemną przygodę. Raz bowiem, gdy pozostał w tyle za innymi w towarzystwie hetmana Ogińskiego, padł strzał i kula świsnęła tuż obok jego głowy. Przestraszony wrócił czemprędzej do miasta".

Możnaby złożyć to opowiadanie na karb dziennikarskiej plotki, gdyby nie to, że ów nocny napad powtórzył się niemal identycznie po niespełna czterech latach, i gdyby nie pośredni dowód, zawarty w liście Poniatowskiego do przyjaciela Anglika, ambasadora Józefa Yorke w Hadze, d. 20 marca, w dziesięć dni po napadzie: „Może mam paść ofiarą szału, aby ci, co przyjdą po mnie, skorzystali z wielkiego przykładu — i wielkiego przewrotu"...

Piątego sierpnia znów strzelano do króla, gdy odbywał przejażdżkę na Bielany, i nikt nie śmiał nawet przeszukiwać sąsiedniego lasku; dopiero Rosjanie zrobili to, lecz bezowocnie. Od początku zaś następnego roku, chociaż zamachów nie ma, nastrój zamachowy wciąż wisi nad Zamkiem Królewskim. Stanisław rzadziej wychodzi na miasto, częściej jeździ pod strażą. Naród go czyni odpowiedzialnym za okrucieństwa i łupiestwa Moskwy; wróg straszy go anonimami, napastliwemi wierszykami, trupiemi główkami na podrzucanych świstkach, a kiedy zajdzie wypadek, opinja widzi w nim zamach. 11 maja np., czytamy znów u Gereta, zdarzył się na zamku dziwny wypadek. Kominiarze czyścili komin w piecu pokoju, nad którym król ma swój gabinet. W chwili, gdy jeden z kominiarzy wstawił świecę do pieca, rozległ się odrazu tak silny huk wraz z takiem wstrząśnięciem, że nietylko piec w dolnym pokoju rozpadł się na kawałki (mieszka tam kasztelan Karaś), ale zarazem wyleciała część podłogi w gabinecie królewskim. Król od tego wstrząsu spadł podobno z krzesła, nie odniósł jednak rany. Wielu śmieje się z tego wypadku, i twierdzi że nie było tam prochu, inni domyślają się szatańskich zamachów". „Nieborak kasztelan Karaś ledwo z familją swoją nie był zakopany" notuje generał Mokronowski w liście do hetmana Branickiego (Bibl. Ord. Krasińskich 4588). Taksamo przedstawia rzecz Repnin. Kiedyindziej w październiku r. 1770, jak wiemy z relacji saskiej, podczas przedstawienia komedji u Kadetów dwa żyrandole spadły tak blisko króla. że kilka pań towarzyszących mu odniosło rany.

To były przypadki bez związku z toczącą się wojną konfederacką. Ale jednocześnie za kulisami owej wojny dojrzewał plan zamachu na osobę królewską, który chwilami przybierał charakter królobójczy. Jeżeli wierzyć parokrotnym zeznaniom znanego partyzanta, później odstępcy, Bierzyńskiego, sam biskup Krasiński namawiał jego i innych do uśmiercenia intruza; sprzysięgali się na to spiskowcy z pod znaku podskarbiego Wessla; osobno, jakby nie chcąc pozostać w tyle za biskupem i podskarbim, knuł zamach na życie Poniatowskiego wojewoda Mostowski, którą to tajemnicę zdradził królowi wtajemniczony spiskowiec, sławny później poeta Trembecki. Czyż dziwna. że później (pod koniec r. 1770) kiedy król wyczytał w pamiętnym uniwersale Generalności wezwanie do wszystkich dobrych obywateli, aby zmyli hańbę narodu we krwi tyrana i uzurpatora. i kiedy jeszcze po roku poczuł żelazo zamachowców na głowie, — to uwierzył, że go chciano zamordować z premedytacją, i poczuł się bratnim duchem francuskiego króla męczennika, Henryka IV.

Rozbiór otworzył oczy zapaleńcom na wiele rzeczy, których przedtem nie rozumieli, łącząc króla i jego wrogów we wspólnej niedoli. Odtąd już o zamachach na Stanisława Augusta nie słychać.

Zdzisław Broncel

Obywatele na prowincji

Po przeczytaniu „Prowincjuszy" *) Łopalewskiego zostaje wrażenie podobne, jak wtedy, gdy, bawiąc we dworze na wakacjach, z półek bibljoteki wyciągało się tomy Korzeniowskiego i zagłębiało w perypetje „Kollokacji".

Podobna atmosfera, podobny ton, podobni bohaterowie. Pokazywanie ludzkich śmiesznostek, kontrast między dętą wielkością lokalnych luminarzy i ich istotnem, poczciwem „ubóstwem ducha". Coś z salonu państwa Płachtów zabłąkało się do „Prowincjuszy", do Zawadowa nad Rajnią, miasteczka prowincjonalnego w siódmym roku polskiej niepodległości.

Osią opowieści o ponurym, zresztą krótkim okresie dziejów zawadowskich, jest sprawa publiczna. Na posiedzeniach komitetu budowy pomnika poznajemy starostę, właściciela sklepu kolonjalnego, właściciela drukarni, naczelnika szpitala, księdza, prowizora, a następnie poznajemy ich sprawy prywatne, snujące się wokół najważniejszego wydarzenia: obchodu ku czci... pomnika ku czci..., nazwanie ulicy ku czci...

I właśnie w tej sprawie pomnikowej króluje duch salonu Płachtów. Miasto nie posiada dostatecznej ilości ochronek, nie ma nowej maszyny w elektrowni, któraby mogła zapewnić miastu światło przez całą dobę, lecz miasto wznosi pomnik. Ten zaszczyt ma spotkać Malczewskiego, który podobno urodził się w Zawadowie. Tak mówi „miejscowy ilustrowany Przewodnik".

„Chociaż jedni biografowie uważają Warszawę za miejsce urodzenia naszego poety — powiada twórca „Przewodnika" — inni zaś upierają się przy Kniahininie na Wołyniu, mamy jednak poważne powody, aby mniemać, że Malczewski urodził się w Zawadowie, gdzie matka jego zatrzymać się musiała w drodze z Warszawy na Wołyń, lub odwrotnie, co się tłumaczy jasno od pierwszego rzutu oka na mapę dawnych szlaków pocztowych Rzeczypospolitej".

Koniec uwieńczył dzieło, pomnik wzniesiono. Lecz przedtem pojawiła się w gazecie zawadowskiej następująca notatka:

„Wobec powszechnego w całym kraju pędu do wznoszenia pomników dla uczczenia różnych rocznic narodowych oraz zasłużonych mężów, grono rzeźbiarzy warszawskich opracowało model uniwersalnego pomnika, który może być przewożony z miejsca na miejsce w związku z nadarzającemi się uroczystościami w poszczególnych ośrodkach państwa".

„Model ma formę wysokiego obeliska, na którego szczycie może być ustawiony, albo orzeł, albo biust ludzki, zależnie od okoliczności. Na postumencie przewidziano miejsce do umieszczenia tablicy z odpowiednim napisem. Tablice można wymieniać stosownie do okoliczności: Pomnik może być ustawiony na danem miejscu w ciągu 24 godzin, poczem, po uroczystem odsłonięciu, złożeniu symbolicznych hołdów i sfotografowania na wieczną rzeczy pamiątkę właściciele projektodawcy rozbierają go i wywożą tam, gdzie zaistniała potrzeba wzniesienia pomnika. Koncepcja pomnika objazdowego redukuje do minimum koszty, obciążające dotąd..."

Z tych dwóch fragmentów można wyprowadzić cały styl powieści Łopalewskiego. Zdania opisów mają coś w rodzaju „formatu urzędowego, djalogi są po prowincjonalnemu czcigodne, fakty po prowincjonalnemu ważne, tragedje groteskowo tragiczne.

Z ironji autora wynika złośliwa staranność w opowiadaniu o elicie zawadowskiej. Autor zdaje się mówić: opiszę was dokładnie, prosto, jasno, a nobliwie, nic z was nie uronię — będzie tak, jak wyście chcieli, a mnie już to wystarczy. I tak wydacie się dostatecznie śmieszni.

Kreśli więc Łopalewski wyostrzone sylwetki ludzkie. Oddaje ich linję drobiazgowo. Jest to jednak tylko sylwetka, tylko spojrzenie po powierzchni. Powieść Łopalewskiego stanęłaby o wiele wyżej, gdyby Łopalewski zamiast szkiców dał typy, albo też pod małomiasteczkową śmiesznością odnalazł ludzi.

Tej pełnej, plastycznej typowości postaci powieść wprost się domaga. Czujemy ten brak dlatego tak silnie, że Zawadów nie jest mocno osadzony w polskiej rzeczywistości. Wygląda zbyt mgliście, zbyt zakrawa na syntezę, której właśnie nie przeprowadzono. Dzieje Zawadowa nie mają barwy regjonalizmu. Są właściwie bezimienne. Prowincja i tyle. Ale gdzie, tego nie spostrzegamy. Nie spostrzegamy nawet, że to ma być prawie teraźniejszość. Autor wprawdzie tak zaznaczył na początku powieści, lecz powieść z drobnemi zmianami dekoracji możnaby przenieść w czasy przed wojenne.

Nie chwytamy w niej współczesności. Trąci myszką. Gdyby nie takie informacje, jak, że w mieście jest starosta, że wznosi się pomnik i t. p., nie moglibyśmy powiedzieć swobodnie — tak, jest to nasza prowincja sprzed kilku lat — nie moglibyśmy więc rozpoznać satyry. A to podcina satyrę u samego jej korzenia.

Właśnie z niedawna mamy inną powieść o małem miasteczku. „Ziemia Elżbiety" Gojawiczyńskiej. Jakże tam współczesność tętni, jak wybucha w końcowej scenie ucieczki bezrobotnych do Niemiec. „Ziemia Elżbiety" jest epopeją miasteczka.

„Prowincjusze" właściwie są ograniczeni do t. zw. inteligencji. Niema rzemieślnika, niema drobnego sklepikarza, handlarza, biedoty miejskiej, okolicznego chłopa. I tu nasuwa się zestawienie: jaka tężyzna jest w pospolitych ludziach „Ziemi Elżbiety" i jak mdła jest elita zawadowa.

W tem miejscu Łopalewski może słusznie przypomnieć, że nic zapowiadał pełnego obrazu życia na prowincji, że chciał dać tylko ironiczne spojrzenie na „kwiat" tej prowincji, na zastoiny i gmeranie, które tam zastępuje ruch.

Lecz właśnie w to biją zarzuty. Jeżeli „Prowincjusze" miały być satyrą, to nie są oparte o aktualność, są sztychem w mgłę, a nie w wyraźny cel. Jeżeli miały być syntezą prowincjonalnych nastrojów, studjum lepkiej, prowincjonalnej siły wciągającej człowieka w nudę, w szary kierat i głupawe świętówki, to nie dały dostatecznej typowości, to nie dały dostatecznego zagęszczenia barwy, jaką Łopielewski malował swoje postacie.

I wreszcie, jeżeli spojrzymy na „Prowincjuszy" jako na powieść ironiczną, w której już nawet nie idzie specjalnie o prowincję, ale o dysproporcję, zdarzającą się nieraz między rzeczywistością, a dramatyzowaniem tej rzeczywistości przez jej bohaterów, to trzeba powiedzieć, że w powieści linja ironji jest przerywana.

Przypadek Żmondy, popychadła, zahukanego człowieka, stającego nagle do pojedynku, jest już na pograniczu ironizowania. Sytuacja Dumki, zabiedzonego urzędnika, który zabiegał około sprawy pomnika, a potem został zapomniany i odsunięty, również naprzemian wygląda na chwyt ironiczny i na ukryte współczucie.

Tacy zaś, jak doktór, jak felczer Rojst, kochający się właściwie we własnej córce, jak młody Kamalski, wymknęli się spod objektywu ironji. Nie wyszło im to na szkodę. Są żywi, dają powieści wartościowe karty, ale zaszkodzili jednak całości.

Sprawili, że powieść jest niejednolita. Waha się niekiedy między ironicznym protokułem życia w Zawodowie, a między samem życiem.

Kamalski niech posłuży jeszcze do jednej demonstracji. Jest to syn właściciela sklepu kolonjalnego, absolwent paryskiej uczelni. Z Paryża do Zawadowa, do prowincjonalnego kąta, do rodzinnego, prowincjonalnego kąta. Czuje się w tem temat powieści o prowincji. Jakaż konfrontacja! I jak można wydobyć psychikę życia prowincjonalnego przez obserwację reakcji Kamalskiego w zetknięciu się z polskim Zawadowem!

Że ten temat jest ledwo dotknięty, ilustruje właśnie, jak daleko odbiegł Łopalewski od próby dania obrazu współczesnej naszej prowincji.

*) TADEUSZ ŁOPALEWSKI: „Prowincjusze". Powieść. 1934. Warszawa. Tow. wyd. „Rój".

T. Łopalewski jest autorem kilku sztuk teatralnych, a w roku ub. wystąpił z doskonałym przekładem rosyjskich bylin.

---

wet uderza w powonienie". Z głównego traktu myśli robi Richtig małe zboczenie. Skoro o zapachach mowa, nie może nie przyjść pod nozdrza (chociażby tylko w imaginacji) zapach skór: surowej, niegarbowanej, delikatnej cielęcej, boks, szwro i amerykańskiej, kąpanej w anilinie. Tę ostatnią skórę przywiozły ze sobą amerykańskie stacje wojskowe i obdzielały nią żołnierzy tak długo, dopóki jeszcze miały ochotę bawić się z nimi w karesy. Nowa odmiana skóry jednak została. Jakby ukryła się przerażenia: w groźnych chwilach wojny przeszła z frontu na tyły, do miast, które były bezpieczne. Od tego czasu utrzymała się już na stałe, wzbogacając nową odmianą szeroką gamę skórzanych zapachów. Nie jedną gamę! Całą klawiaturę, od najcieńszych, najdelikatniejszych, zeperfumowanych odmianą Chypru aż do grubych i pospolitych na chłopskie cholewy.

Wśród takiej różnorodności, warto pracować, a praca owa znaczy coś jeszcze poza samym faktem robienia pieniędzy. Jakże wobec niej wygląda zakładanie rur gazowych i drenów pod namokłemi gruntami. Z pewnem zadowoleniem pomyślał Richtig, że w swoich cudnych latach musiał Jerzy Sobkowiak własnoręcznie instalować takie instrumenty, jakie w domu Richtigów mieszczą się na parterze za łazienką i osobny w piwnicy dla Celiny. A jednak?

Richtig odczuwa gorycz. Gorycz przedewszystkiem na myśl, że siebie okłamuje. Wszystko jedno, w jakim celu. Okłamuje siebie. Wszystkie wykręty i złośliwości na nic się nie zdadzą: Sobkowiak, to jednak jest co innego. Prezes. Prezes „Towarzystwa Przyjaciół Upiększenia Grudzieńca". Cóż z tego, że tylko taki prezes. W życiu znaczy naprawdę nie to, co powinno mieć znaczenie, tylko to, co ludzie naprawdę poważają. Richtig wie o tej prawdzie bardzo dobrze. Taki naprzykład prezes sądu Sopicki: mała pensyjka, pięcioro dzieci, hemoroidy. I kto mu się kłania? Kanceliści ze sądu. A proszę popatrzeć na to, jak wyjeżdża swoją limuzyną Sobkowiak i jak sunie, jucha, naumyślnie pomału przez ulicę Wolności?

Niedzielne przyjęcia u Sobkowiaka mają szeroką sławę w mieście i budzą zazdrość tych, którzy na nich nie bywają. Richtig wie o nich przeważnie od żony. Ma ona dnie, kiedy piecze nędzne ciało swego męża, Michała, na żywym ogniu złośliwości, podsycanej posagiem, który jeszcze dotąd zapisany jest w sądzie na osobnej karcie intabulacyjnej.

Jerzy Sobkowiak to najpoważniejsza figura w całym Grudzieńcu. Jego dom, zupełnie przecież nie wyjątkowo wspaniały, wydziela ze siebie, jakby zapach prawdziwej pańskości. Co niedzielę odbywają się tam przyjęcia. Rozmaite. Dla różnych ludzi. Ale jest takie koło, które tam bywa stale. „Ach, cholera, — złości się nagle Richtig — darmozjady!"

Zły, przerywa rozmyślania. Przechodzi koło drzwi jadalni i chyłkiem wysuwa się do sieni. Wiktorja z niedzielnych nudów bawi się kotem od sąsiadów, którego podstępnie zwabiła słodkim głosem. Bawi — to znaczy, męczy bydlaka, tak, że ten drze się i ma ochotę drapać. „A, niech ją zadrapie do krwi!"

Sobkowiak nie ma żony, ma za to dorosłą córkę. Bardzo to oryginalne, gdy taki siwiejący na skroniach, ale bardzo jeszcze młodo wyglądający pan ma córkę, która właśnie wróciła z Paryża, a naprawdę wygląda, jakby uciekła z filmu, który szedł w zeszłym tygodniu w „Apollo". Codzień popołudniu gra Sobkowiakówna w tenisa za parkiem, można się jej przypatrzeć do woli. Bez biletu i bez pieniędzy. „Play" — pokrzywia się Richtig i otwiera drzwi do ogrodu.

Tu samopoczucie poprawia się bardzo wyraźnie. Dom niema zupełnie płotu; otoczony jest murowanemi balaskami z kolumną grecką co piąty słupek. Na kolumnach stoją urny, a w nich kwitną pelargonje. Gdy się stanie przy tych balaskach, można ocenić w całości dom. Niech sobie będzie Sobkowiak największą figurą w Grudzieńcu, ale najpiękniejszy dom jest mój. Nasz — poprawia się niechętnie.

Dokoła domu biegną ścieżki, wysypane czerwonym piaskiem, dwadzieścia złotych cetnar. Trawnik obwiedziony jest jeszcze betonem. Spośród trawnika wyrastają oleandry. Wkoło nich rzędy kwiatuszków. Na froncie ani jednego drzewa, aby nie przesłaniały figur na ścianie. Płaskorzeźb — jak mówi Wiktorja. Przedstawiają one latających olbrzymów z wielkiemi trąbami. Poza figurami widać jeszcze okrągłe słońce, gdy się pod wieczór zanurza w morzu. Dwie równe rzeźby znajdują się po obu stronach bramy wejściowej i wyglądają bardzo ładnie.

Bynajmniej na tem jednak nie koniec. W kątach całego ogrodu czai się osobny świat. Tu karzełek z gliny w czerwonej czapie, tam taka sama zielona żaba, albo gliniany muchomór. Są również wielkie kolorowe banie na kijach od róż. Wszystko to tworzy malowniczą całość i krzepi serce Richtiga.

Cóż, kiedy kot nie pozwala mu dojść do kresu pokrzepienia. Tak, właśnie kot; a w rzeczy samej Wiktorja. Kot spada ze środkowego okna z głośnym miaukiem, jak worek piasku. Za nim wylatuje poduszka. Poduszka, w czerwone jaskrawe kwiaty, zlatuje, zatoczywszy łuk, pod nogi Richtiga.

— Warjatko — krzyknął do żony — zbijesz żabę!

Dobrze już zaczynający się nastrój, rozbił się, jak jedna z tych kolorowych szklannych bań. Odbiega Richtiga ochota do dalszej penetracji. Czuje wyraźnie, że gdyby mu pozwolono spokojnie zbadać jeszcze elektryczny mechanizm do kolorowego kandelabru na werandzie, uleczyłoby go to ostatecznie z tej całej głupiej niedzieli. Niestety, wszystko na nic.

Kolorowe lampki są dopełnieniem wszystkich wspaniałości domu. Właściwie nie można tego urządzenia ująć w żadną z istniejących nazw. Nie jest to ani kandelabr, ani żyrandol, ani bukiet różnokolorowych żarówek, ale odrębny aparat, pomysłu małżonków Richtigów. Układali go wspólnie w czasach, kiedy jeszcze były chwile, że czuli się ze sobą po ludzku. Wynalazek polegał na tem, że wielkie okna werandy ułożono z wielu kolorowych szybek. Za każdą szybą była mała żarówka. Dużo pracy i czasu zabrało założenie drutów i kontaktów do każdej żarówki w taki sposób, żeby od wnętrza nie widać było supłów drucianych. A jeszcze więcej, aby te druty połączyć we wspólne węzły, w różne kombinacje gry świateł i aby to wszystko przyczepić do odpowiednich tastrów. Pracowali nad tem wspólnie z mechanikiem przez tydzień.

Czasy te należą we wspomnieniach Wiktorji i Michała Richtigów do najlepszych z ich dziesięcioletniego małżeńskiego życia. Jeszcze dziś — rzecz dziwna — jeśli co może wywołać chwilę ciepłej harmonji — to są tem „czemś" właśnie owe „sztuczne ognie". Płynie z nich jakiś strumień uciechy, gdy się zasiądzie w niedzielę wieczorem na werandzie i może przekręcać w różny sposób kontakty. A tu płyną, walą się tłumy niedzielnej publiczności z miasta do Grudzieńca i spo-

Wincenty Burek

Na służbie

Za Mańkiem Chmielem krok w krok łaziła zazdrość całej wsi. Oddawiendawna. Już od tego czasu, kiedy Maniek, trzymorgowy przywłoka z trzeciej wsi, wziął i capnął ocińskim kawalerczakom najzdatniejszą pannę i najwalniejsze wiano. O, długo nie mogli tego przebolеć, darować, zabaczyć...

Popóźniej ten jakiś sposób Mańkowy na zły czas. Insi tego sposobu nie wynaleźli, a on skądsić go dobył i ma. I trzyma i tak manebruje, że pożytek mu z niego wyłazi zewsząd. Insi skwierczą, biedzą, choderują, a on ta zawsze ma sytną, roześmianą gębę, że i co. Pobudynki paradne, chudoba galanta, krowy i świnie na wystawę można wywieść, buhaj sławę naokoło roznosi. A zaś zboża na jego niwach—jak u dziedzica na dworskiem. A w całem obejściu i sposobie gospodarskim — nic ino dostatek, szczęśliwość i chwała. To niedziwota, że zazdrość ludzka nie usnęła. Zazdrośc się ustawiła świdrowatem okiem na Mańkowe dobro.

— Bogoc, psiokrucka, bogoc — powiada każde spojrzenie, i okrywa się złym przełyskiem jak se już przybaczy tę swoją bidę i że gdzie się jej ta przymierzać do majętności szczęśliwca. — Wiedzie sie mu i juz.

— Bo głowe mo nie na pokoz — dolatuje prawda, co wszystko tłumaczy.

— Głowa głową, ale tu trza, zeby były rece.

— Rece? Rece mo Tworogoscyk. Ho-ho, co za rece, co za rece!

— Tak, zeby nie ten parobek...

— Zeby nie te rece...

Te ręce Stacha Tworogoscyka w sławie były powszędy i w cenie u wszystkich. I ta zdatność Stachowa w każdej jednej robocie. I talent w gospodarskim obrządku i zuchostwo. Udał się juchtra chłopak, bo się udał. Sobie i gospodarzowi. Oba z gospodarzem nadali się do siebie na podziw. Tu głowa i rząd — a tu ręce i harunek. To i wszystko szło u Mańka Chmiela — jak z karty. Szedł przychód, dostatek, uciekała bida od wrót. Rosła obom chwała i oplatała się lepkim powojem ludzkiej zazdrości. Kosooka zazdrość śliniła się na widok tych dwóch zuchów, co szczęściem potrafili wyosobnić gospodarkę spośród okolnej bidy-niedoli. I zazdrość wszystkoby już Mańkowi podarowała, ino nie tego parobka. Tego Stacha Tworogoscyka, co wiernie od lat służy i widać tak wprędce butów swemu gospodarzowi nie spali. Wieleby odżałował ten i tamten zazdrośnik, żeby Stach buty spalił i odszedł. Były różne próby i podejścia na Stacha, ale wszystko nanic. Mijał rok za rokiem, na Gody zmieniali się parobcy tu i tam, a u Mańka ostawał postaremu. Ostawał Stach Tworogoscyk na jeszcze jeden rok.

— Coś w tem jest, ze ten Stach tyli cas słuzy u Chmiela — mówiło się często na Ocinku. — Mogłoby sie mu kaj nadać z zeniacką, bo chłopok zdatny, robotny i taki zuch, a un nic ino horuje i horuje na jednem miejscu.

— A wicie, ze nawet takrok dajała mu znać jedna wdowa z Zogród, zeby sie zenił. Nie chcioł.

— I do dworu go namowiali. Nawet nie słuchoł.

— Ej, ej, tu coś jest w tem.

— Musi coś być...

•

Jak Tworogoscyk nastał do Chmiela, to Helcia była jeszcze taką se tam podfruwajką. Chowała się ładnie, przy siostrze i szwagrze Chmielu i zadawała się na zdatną pannę. Choć niebardzo ją do roboty doganiali, ale przecie nigdy nie mogła w chałupie darmo usiedzieć, zawsze musiała ręce zaczepić wokoło domowych porządków, a już najwięcej w oborze i w polu. Nikiej furczka zwijała się przy dojeniu, koło świń, we żniwa dorównała śmiało starszym i naucznym roboty. Więcej się Helę widziało przy pracy, aniżeli Mańkową babę, co ponajwięcej siedziała w chałupie przy kuchennych dłubkach i rada widziała, jak się siostra garnie do conajcięższych robót.

Przy każdej robocie sprzymierzała się Hela z parobkiem. W oborze i w stodole, w ogrodzie i na polu robili razem co się należało i odwalali gospodarską powinność w ochocie pospólnej, zręcznej pracy. Stach wprędce się przyzwyczaił do tego porządku, że zawsze będzie miał koło siebie śmigłą, pracowną, wesołą dziewuszkę i że tak we dwoje snuć się im będzie uśmiechnięty wysiłek. I lubił choć trochę oderwać oczy od zatrudnienia, ażeby popatrzeć na rumianą Helę, jak się uwija chyżo—kipiąca od zdrowia, siły i porywistej ochoty. Śmiały mu się do Heli siwe oczy i dziwnie jakoś dobrze mu wtedy było, że najsroższy harunek wydawał się lżejszy i sposobniejszy do zepchnięcia.

— Wis, Hela, co ci powiem? — pogadywał do dziewuchy. — Z tobą to juz nie wiem jaką robote mozno robić i bedzie letko i dobrze. Cheba nosis jakie cary w zonadrzu, abo co?

— E, pleciugo, godos som nie wis co — odpalała trochę zawstydzona, bo zawsze się jej zdawało, że Stach robi przytyk do tych znaków dziewczyńskich, co wymownie rozpowiadają z zanadrza o nadeszłym już czasie do kochania i pieszczoty.

— No, juz jo ta wiom — przekomarzał się pod wtór chybkiego zamachu tych swoich rąk, tak celnych w robocie i tyle chwalonych. Słodkie chwile spólnego trudu nanosiły mu tyle wesela, że i grzbiet zgarbiony przy kosie, snopkach lub sieczkarni nie dokuczał boleniem, i nogi raźnie śmigały, jakby wypoczynkiem kwitły, a nie utykaniem nieprzerwanem przez długi, robotny dzień. Stach chodził w obłoku dziwowacznej radości i promieniał. Przy robocie — robotny na podziw, przy pogwarce — wesoły i śmiejący, wszędzie, gdzie ino stąpnął, rodziło się za nim samo dobre i wesołe. Nie dziw, że go też lubili wszyscy w chałupie i na wsi i że wieś zazdrościła Mańkowi takiego parobka.

Nie można powiedzieć, żeby Hela nierada była słowom, patrzeniu i całemu sposobowi, jaki Stach w robocie i zachowaniu przed jej oczy wykładał. Mile się jej pracowało wespół ze zdatnym chłopakiem. Ceniła go górnie za tę zdatność, za młodą fantazję we wszystkiem i za to jego staranie, żeby jej zawsze przyjść z jaką wyręką i posługą choćby najmniejszą. Wyrozumiała chyżo, że znaczy dużo dla niego, że Stach jest dla niej osobliwszy i dziwnie inakszy, aniżeli dla dziewuch wsiowych. Zauważyła to już na graniach i przy każdem niedzielnem zebraniu. Trochę to ją mieszało i niespokoiło, ale młoda dziewczyńska swawolność przeskakiwała poprzez głuche strachy przed czemś, czego nie umiała pojąć, i leciała na spotkanie tego obłoku, co spowijał Stacha przy spotkaniu się z nią w izbie i przy pracy. Korciło ją nieraz, czyby się nie spytać, czemu to Stach tak pięknie na nią patrzy i tak łagodnie zagaduje i się przymila, do dziewuch na wsi małoco zachodzi, a jak się z którą spotka, to i gada i patrzy inaczej. A czasem ogarniał ją śmiech bez widocznej przyczyny, albo i złość dzika na tego Stacha. „Co un tak te bałonie na mnie wybałuso? Gawroni sie, jakby chcioł, zeby go cem opatrzyć“ — myślała nieraz w zmieszanem zastanowieniu. Ale po takich dąsach przed samą sobą była dla Stacha jeszcze lepsza i milsza w pogawędce, jakby chciała chłopakowi wynagrodzić szkodę, zrobioną przecie niewiadomo o co i poco. A Stach wtenczas jechał niefrasobliwie na stu koniach radości.

Chmiele wrychle poznały co się z parobkiem wyrabia. Ale się też i nie zastanawiały nad stachową fantazją. To i cóż, że wiosenny omam rozkołował widać Stacha? Chłopak jeszcze młody i niepełnoletni, głupi chłystek, co nie idzie za rozumem, ale za jakąś wydumką. Jak to młody, niedziwota.

— Trza go odprawić, Maniek, bo jesce Hele zbałamuci — kłopotała Chmielowa.

— Ij, nima strachu. Nic takiego jesce sie nie zauwozyło.

— No-no, zeby nie zapóźno.

— Hela nie jest głupio, wi z kiem mo do cynienio. A zreśtą, gdzie jo znondę drugiego takiego? I za taką małą wysługę. To lepiej dlo nos, ze tak jest jak jest. I nie my go tu trzymomy na pozytek, ino Hela. Ha-ha-ha!...

*

Na drodze przed Chmielem, na oborze u Chmiela, w chałupie i w całem okólu dziś ruch jak w szklanej bucie. Pogodny, czerwcowy dzień syci się żarem słonka i radosnym gwarem niedzielnie ogarniętych ludzi. Coraz to zadudnią wozy i wgarniają się z trajkotem, na oborę Chmiela i do pobliskich sąsiedzkich obrębów. Wali procesja starych i młodych i skręca w chmielowe obejścia. Chmary dzieciek wyległy na drogę pozastodołu i nasłuchują pilnie, czy aby nie dolatuje wyczekiwany pogios.

I po czasie nadfrunęły zdala skoczne i zrywne nuty. Rozpływają się po polach, wiszą nad zbożami, obznajmiają się wesoło ludziom, co się tu schodzą i buczą głosami i czekają. Nuty są coraz wyraźniejsze i wyraźniejsze, i wnet zza zakrętu wychynęła burza melodji i szła z grzmotem, z dudnieniem kół i zawodzeniem śpiewu — wprost do chmielowej zagrody.

— Wesele!...

Stach Tworogoscyk nie uwija się, czego zwyczaj, na oborze. Pośród chłopaków nie widać teraz jego okrągłej, rumianej, roześmianej gęby. Niema go wcale i nie będzie.

Stach Tworogoscyk ubrał się zrana odświętnie, wsadził jakiś mondziołek pod pachę i nakierował się na polną miedzę za wieś w stronę miasta. Daszek położył głęboko na oczach, przygarbił się czegoś niezwyczajnie, i dziwnie niezwyczajnie potyrtolił się śród łanów zbóż. Daleko nie zaszedł. Skręcił ze ścieżki na Rownia i wlazł w żyto na najwyższym cyplu pól, skąd widać dobrze całą wieś. Postał tu chwilę i obalił się na zieloną ściółkę, ino szelest poszedł naokół.

— Wesele. Heline wesele! — mamrotał niewyraźnie. Zaparł oczy i długo leżał bez ruchu. Gdzieś wgórze świergolił skowronek i piał i zachłystywał się w upojeniu śpiewania. A zoddali wybrzmiewał głuchy odgłos bębna i urywki weselnego grania. Radość, weselna radość nakryła sobą doimentu tamtą chałupę, całą wieś, te pola, to okole.

— Juz po Heli. Juz ji nie bedzie— skwierczało mu wciąż w myślach to jedno jedyne. Nie mógł pojąć, że oto już... Przez całe cztery lata patrzył se na nią radośnie i ufnie, w najskrytszych pomyśleniach łączył ją z sobą, tyli czas wierzył, że może przecie jakoś... Choć natrzeźwo śmiał się nieraz ze swojej śmiałości i głupoty nad głupotami, ale czemuż to nie miał być śmiały, kiej te rachuby wspierały się na jej łaskawości, dobrem słowie, ciepłych spojrzeniach. Że jest biedak i parobek, a ona gospodarska córka z ładnemi morgami i wianem, to i co? Ten co dziś ślub z nią bierze ma nie więcej jak trzy mordzyny. I żeni się. I Hela się go nie odrzekła.

— Jak sie to zrobiło, ze tak dołem się okpić — przelatywały mu po głowie gorzkie myśli. — Horowołem jak kuń, zabijołem się robotą po dniach i po nocach, zeby ino z nią razem, dlo nij, zeby se uskarbić ji łaski, zeby widziała com za jeden.

Zza zaciśniętych zębów wyrzucił raptem gniewne słowa:

— Okpiły mnie wszystkie, osukały, zorazy! Robiły tak, zeby mnie przyniewolić do siebie. Niby to nic nie obiecywały, a obiecywały. A jo głupi baron wierzyłem.

Nagła złość potrząsała nim jak wiater osiką. Myśli o zemście zaczęły się kluć — dzikie i srogie, chytre i zabiegliwe. Rozpatrywał je Stach na różny sposób długo i cierpliwie. Wtórowały mu porywiste tony, nadlatujące wciąż za każdym zawiewem wiatru.

Na odwieczerzu rozhuczały się znów drogi. Długi sznur furmanek pociągnął do kościoła. Stach wymiarkował ten czas ślubu, pogarnął się do zawiniątka, wyjął stamtąd obtężnią flachę okowity i zaczął pić a pić. Aż do dna. Wrychle stracił pamięć o sobie. Zginęło mu wszystko z myśli i zasunęło w niepamięć.

Ino kłosy gaworzyły wokoło, na niebie skręcał się srebrny rogalik, a pod niebem, po rośnem powietrzu tańcowały weselne, dygotliwe nuty...

— — — — — — — — —

I Stach nie odszedł od Chmiela po tem weselisku Heli. Ostał i siedział na starem miejscu podawnemu. Był niby u Chmiela, ale już nie ze wszystkiem. Ostało się ciało, bo duch dawny gdzieś się zapodział i przepadł na amen. Robić Stach robił, koło obrządków w gospodarstwie zwyczajnie się kręcił, ale już ino na niby. Coś się w nim odkręciło i przemieniło nawspak.

— Oho, Tworogoscyk sie opusco w robocie — zdążyła zauważyć wieś. Zazdrość i niechęć wsiowych ludzi osłabła conieco i przymalała.

Opusta i upadek ochoty w parobku nie uszły przecie i oka gospodarzy. Kiwali głowami, ale nie chcieli narazie zapoczynać ze Stachem. Widzieli w czem rzecz, litowali się nad chłopakiem. Zresztą nijako im było odganiać go na same żniwa, kiedy się przecie za miód przyda. A i zasług walnie już podebrał na letnie ogarnięcia. Trza ano poczekać, aż się w nim żal wyburzy. Czas zrobi swoje.

Czas zrobił tyle, że Stach zaczął się biesić nadobre. Co niedziela i święto przepadał na cały dzień, że trza było za niego obrządzać wedle koni i bydła. Wracał nad ranem — przepity, shulany, senny i już do niczego. Skoro ino gospodarz wyjechał za bramę na poniedziałkowy jarmark w mieście, szedł Stach zaraz do stodoły i gnił tam hola na dzień, nieraz do popołudnia. Każdą robotę spychał końcami palców. Na ostrożne uwagi gospodarzy odjadał się ostro i odważnie. Opuszczał się coraz i nie dbał już o nic.

Wnet i przepadał każdego dnia zaraz po wieczornej warzy. Nieraz nie czekał nawet na kolację, jakby mu się gdzieś duśnie śpieszyło. Wprędce też wykryli, że se znalazł dziewuszynę na Radoszkach. Źle o niej gadali i o jej ojcach. Że mają za długie ręce.

Wtedy w obejściach Mańka Chmiela zaczęło się coś dziwnego przydarzać. Ginęły różne rzeczy. Ktoś wykradł masę kur i parę gęsi. Ktoś podebrał się do śpichlerza i ogołocił ze zboża i czego tam nie było. Zniknęły gdzieś chaby z komory. Nie było tygodnia, żeby nie wypadła jaka znista w gospodarstwie. Czujna stróża nie zradziła, ślady wpadały jak kamień w wodę.

— Stacha potrza przegnać w kibinimater — zasądzili oboje Chmiele. — Nie inacy, ino za jego przycyną te strafonki.

Z maluśkim kuferkiem poszedł ze Stach z tego miejsca, gdzie tyle lat upracował i takie marzenia uwijał dla siebie. Rozwiały się marzenia i rozwiały najlepsze młode czasy. Teraz przed nim mglisty widok, nie widać nigdzie stałego miejsca, trwałego kąta. Stracone imię, dobre dawne imię.

Powlókł się na smutne drogi i gościńce. Gdzie oczy zaprowadzą...

Żeby widać ludzka zazdrość mogła się sycić radością i nachichotać się dowoli.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BEKIER J. Ks.: Zebranie rodzicielskie. Materjały na konferencje rodzicielskie. 8°. Str. 51. Kalisz, 1934. Skł. Dom Książki Pol. Zł. 1.25.

DOMIN K.: Ochrona przyrody ze stanowiska biologa. 8°. Str. 20. Kraków, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.40.

Głód na Ukrainie i jego przyczyny. Hl. tr. 8°. Str. 28. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.50 .

HEDEMANN O.: Dawne puszcze i wody, z mapką 8°. Str. 187. Wilno, 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 4.—.

LEWANDOWSKI L.: Ustawodawstwo pracy. Wyd. 2-gie. 8 . Str. 68+189. Łodź, 1934. Księgarnia Czytaj. Zł. 6.50.

MAKOWIECKI S.: Letnie owoce jabłka, gruszki i śliwki. 8°. Str. 27. Lwów, 1934. B. Połoniecki. Zł. 1.—.

MARCZYŃSKI: A.: Gaz 303. Powieść sensacyjno - humoryst. Wyd. 3-cie. 8°. Str. 391. Kraków, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.—.

MOGILNICKI A. dr.: Ustawy karne dodatkowe. Ustawy państw zaborczych. 8°. Str. XLIII+763. Kraków, 1934. Księgarnia Powsz. Opr. Zł. 15.

PAWLAK Wł.: Piekło chałupników. 8°. Str. 15. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 0.50.

PIOTROWSKI R.: Ustne umowy kartelowe a rygor pisemności w polskiej ustawie kartelowej. 8°. Str. 51. Warszawa, 1934. Bibljoteka Prawnicza. Zł. 2.50.

ROMAŃSKI M.: Sprawa Nr. 777. Kraty. Powieść. 8°. Str. 244. Warszawa, 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.

RÓMMEL J.: Kawalerja polska w 1920. 8°. Str. 77. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.10.

RZEPECKI T. dr.: Przepisy Polskiego Kodeksu Handlowego dotyczące podróżujących ajentów i przedstawicieli handlowych. 8°. Str. 140. Poznań, 1934. W. Wilak. Zł. 3.80.

SZCZENIOWSKI B. inż.: Podgrzewanie czynnika zasysanego w silnikach wybuchowych na paliwa płynne. 8°. Str. 72. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 2.

---

wrotem. Nagle ludzie przystają olśnieni. Co to, czy to fajerwerki puszczają na stawie , czy prezydent obchodzi drugi raz w r. imieniny? „Nie, — mówi ktoś w tłumie — nie, to u Richtigów puszczono w ruch aparat!“ Ludzie tłoczą się wzdłuż balasek, a małżonkowie kręcą kontakty. Światło gra. Raz pomarańczowo, zielono, czerwono, niebiesko. Albo niebiesko z czerwonem, albo dodaje się jeszcze kolor pomarańczowy. Ale najpiękniej, gdy się zaświeci wszystkie siedem kontaktów naraz. Wtenczas przychodzi policjant i rozpędza ludzi, ponieważ dorożki nie mogą przejechać przez jezdnię.

„Niech co kto chce mówi, ale w tem coś jest. A czy Sobkowiak ma rzecz podobną?“ — pomyślał Richtig, wchodząc spowrotem do jadalni. Ale Wiktorja i tym razem dławi jego duszę za gardło. Co się w nim dusza trochę podniesie, zaraz dostaje po łbie. Uwzięło się babsko?...

— Powiedz mi — mówi Wiktorja od okna — co ja mam właściwie za życie?

Naprzekór nadchodzącym zwierzeniom, pokój lśnił świeżością i pogodą. Charakteru kolorystycznego nadawała mu przedewszystkiem ostro czerwona kapa na stole i dwa wazony z gałęźmi „złotego deszczu“ pod oknem. Ale i poważny odcień dębowego kredensu miał swój udział w tym niedzielnym nastroju: dbał o to, aby barwy nie naśladowały ludzi, lecz aby się zlewały w harmonję wypoczynku. Kolorów było wiele: w poduszkach na kanapie, w obrazach na ścianie, w dywanie na podłodze. Srebrna blacha samowaru (nigdy nie używanego) i blask słońca na bronzowej popielniczce — wykańczały całość. Były, jak ostatnie dotknięcia pędzla na obrazie. Między temi barwami przechadzało się powietrze w strugach naprzestrzał otwartych okien. Wzdymały się białe firanki. Padały na ziemię uwiędłe liście „złotego deszczu“.

— Znowu zaczynasz? — zapytał ponuro Richtig. Popołudnie szło coraz gorsze.

Wiktorja wydęła wargi.

— Czy ty wogóle możesz rozumieć świat? — Zakreśliła w powietrzu ręką półkole nieco teatralnym ruchem i wskazała za okno. — Ten świat.

— Jaki znów świat, Wiktorjo?

— Gdy się mówi świat — rzekła zgryźliwie — to ty myślisz skóry. Ach, skóry!

Richtig od dawna był przeciwny należeniu Wiktorji do wypożyczalni książek, ale nie mógł jej przecież tego oficjalnie zakazać. Cóż ona znowu wyczytała w jednej z tych swoich pożyczonych bzdur?

— Inne kobiety — zaczęła, ale Richtig przerwał jej szybko:

— Nie możesz przecież narzekać — rzekł, przeciągając słowa. Dochodziła piąta. Za chwilę przyjdzie Szreder z Kwiatkowskim na karty. Przeciągał więc słowa, ufając, że niebawem nadejdzie odsiecz.

Ale Wiktorja nie dała się zbić z tropu. Widziała, jak patrzył na zegarek. Chciała wykorzystać czas, jaki jeszcze został.

— Albo te wieczne awantury — podjęła znów — awantury z Celiną. Czy to ma może służyć do upiększenia życia? Zachowujesz się wtenczas, jak cham.

Richtig strzepnął rękami i poruszył górną wargą, na której był rudy szpiczasty zarost. Bezrzese spojrzenie swych małych oczu podniósł męczeńsko na sufit. „Kto się zachowuje, jak cham? Ja czy może właśnie ty“ — mówił w głębi swej pokrzywdzonej samotności i niezrozumienia, aby się pocieszyć.

— Ja dłużej tego nie mogę wytrzymać, takiego życia! Ani się obejrzysz, jak mnie tu nie będzie. Wyjechać, uciec, wyrwać się — zawołała przeciągłym głosem w różowo złotą pustkę niedzielnego popołudnia. — Uduszę się w tych skórach, w tym całym kramie!

Richtig nagle rozpogodził twarz. Patrzył w sufit, lecz widział co się dzieje za furtką.

— Właśnie idą — rzekł słodko.

Wiktorja nachmurzyła się i cisnęła w męża złem słowem, którego już nie słyszał. Rzecz, którą zaczęła, a która wynikała z jej najgłębszych potrzeb, zduszona została w początkach. Czuła rodzącą się w sobie burzę, która powinna się była rozwinąć w bogatym repertuarze póz odcieni głosu, utonąć w skargach i lamentach, a oto przyjście gości tę całą niewyzwoloną siłę wpędziło spowrotem w znękane serce. Przyszło jej niewiadomo skąd na myśl, że jest jak drzewo na wiosnę, któremu złośliwość ludzka odcięła młodą, rozwijającą się gałązkę.

W sieni rozlegał się gruby głos Kwiatkowskiego. „Ty zmokły szczurze — witał jowialnie Richtiga — cóż twoje skóry?“

Wiktorja uznała, że tego popołudnia nerwy jej nie są wstanie wytrzymać towarzystwa karciarzy. „Wiecznie, przez wszystkie niedziele w roku — to samo, tak samo“ — powtarzała tragicznie. Na progu zdobyła się jednak na gościnny uśmiech.

— Nie będę panom przeszkadzać.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Kwiatkowski.

— Skądże znowu — powiedział Szreder.

— Celina wyszła, muszę przygotować podwieczorek.

Kwiatkowski uderzył Richtiga w łopatkę.

— Masz glük, stary — rzekł i zaraz się ogromnie zaczerwienił. Wiktorja spojrzała na niego karcącem spojrzeniem.

W tym czasie Szreder powtórzył dwa razy słowo „podwieczorek“, jakby badał jego treść. W rzeczywistości zapytywał siebie w duchu, czy Richtigowa ma na myśli pączki czy małe maślane bułeczki. Intonacja głosu jednak nic mu nie mogła wyjaśnić. „U kobiet wszystko zależy od humoru — zdecydował, biorąc karty — prawdopodobnie będą bułki“. Skrzywił się i rzekł na głos:

— Zwykłe pik.

Richtig wygrywał. Wygrywał ciągle, chociaż grał bez uwagi. Wysokie karty pchały mu się wprost w ręce. Szreder cierpł i zastanawiał się, czy nie poszukać pretekstu i nie uciec. Można wyjść stąd bez spodni — klął półgłosem. Żeby taki podły, rudy szczur miał brać od nich tyle pieniędzy. I żeby chociaż grał uważnie. Ale widać było, że Richtig najzupełniej nie myśli o grze. Bez namysłu łupał kartami po stole, aż strącił na ziemię filiżankę. Wiktorja po raz drugi uciekła z pokoju. Tym razem uczyniła to manifestacyjnie. „Psiakrew co za niedziela“ — myślał Richtig. Spojrzał na zegar. Była za pięć ósma. Przeprosił gości i poszedł do swego pokoju. W książce telefonicznej poszukał numeru.

— Czy to warsztaty reparacyjne? — zapytał. — No więc tak. Tu mówi Michał Richtig. Niech pan przyśle heterodyne. mam gości.

W telefonie zadźwięczał długi monotonny chrzęst.

— Niech więc będzie jutro — rzekł jak we śnie. Wszystko zaczynało w tym dniu tracić swój zwykły sens. Nazwy rzeczy odłączały się od przedmiotów. Podobnie dzieje się często z fabrycznie wykonanym butem: przyszwa odłazi od podeszwy.

— Więc niech będzie jutro. Byle przed następną niedzielą. W przyszłą niedzielę również będę miał gości.

Poza jego plecami Szreder nakreślił na swojem czole kółko. „Bzik“.

Kwiatkowski zaśmiał się głucho.